

Pierwsze wejścia zimowe na Elbrus nastąpiły w latach 1934 i 1935. Z Polaków dotąd zimą nie stanął na tym szczyście chyba nikt. Wyjazd w marcu 1981 r. miał charakter treningowy i zakończył się fatalnym złamaniem nogi przez Wandę Rutkiewicz – na szczyt nawet nie próbowano wchodzić. Z zimowym Elbrusem wiąże się jednak ciekawostka historyczna. W r.1903 wyprawę zimową w ten masyw zaplanował głośny w tamte lata taternik krakowski, Karol Englisch. Miała to być wyprawa węgiersko-polska, przewidziana na „jedną z najbliższych zim”. Szczegóły omówił Englisch z Károly Jordanem podczas zimowej wycieczki na Krywań, porozumiał się też z panną Teréz Egenhoffer. Sto lat temu problemem było samo dotarcie w Kaukaz – Englisch poszukiwał w prasie informacji na temat możliwości i kosztów, zapraszał też do udziału w wyprawie „osoby obznajomione z górami i traktujące tę sprawę poważnie” (Prz. Zakop. 18 1903). Ostatecznie skończyło się na projektach – ale ważny jest sam śmiały i pionierski pomysł, wpisujący się w późniejszą polską żyzkę do wspinania się zimą na szczyty wyższe od Alp, o czym w owym czasie nikomu się nawet nie śniło. Zamiar Englisha – w tamte lata zupełnie nierealny – przypomniał cierpko i uszczypliwie „Taternik” 1933 na s.118. Englisch w wielu sprawach wyprzedzał swój czas – jak widać bardzo mocno, skoro jeszcze w r.1933 jego wizja przerastała wyobrażenia klubowych krytyków. Pomysł czekał przeszło sto lat na polskie urzeczywistnienie – zrealizowali go dopiero w tym roku Ola Dzikówna i Paweł Szaniec. Dziękujemy! (*in*)

ŚNIEŻNE PANTERY

Główny księgowy wysokich szczytów Pamiru i Tien-szanu, Władimir Szatajew, podaje aktualne dane o stanie liczącego wiele lat programu „Złoty Czekan”, polegającego na nagradzaniu zdobywców wszystkich postradzieckich olbrzymów dyplomami, żetonami i tytułami „śnieżnej pantery” (śnieżny bars). Na komplet tych siedmiotysięczników – nazwijmy je „czerwonymi” – składają się obecnie Pik Somoni (Kommunizma, 7495 m), Pik Pobjedy (7439 m), Pik Lenina (7134 m), Pik Korżeniewskoj (7105 m) i Chan Tengri (6995 m). W ciągu lat zestaw ten ulegał zmianom, głównie z powodów politycznych, np. zamykania na długie lata Piku Pobjedy. Zdobywców wymaganej serii (nie zawsze tej samej) zebrało się 534, znalazła się wśród nich garstka cudzoziemców – m.in.15 Bułgarów, 4 Japończyków, 3 Francuzów. Z Polski tabela zawiera 1 osobę, chodzi zapewne o Amalię Kapłoniak. Męskiej trójki Henning – Miotk – Kaczkan brak, być może chłopcy nie dopełnili jakichś formalności. W Moskwie powstała specjalna grupa robocza FAR, która ma całą dość zaniedbaną problematykę „śnieżnych barsów” uporządkować. Wołodia Szatajew proponuje, by osoby pominięte zgłaszały się do niego z odpowiednią dokumentacją w celu uzupełnienia listy i wydania certyfikatu, można się też zwracać wprost do sekretariatu FAR w Moskwie.

W SKRÓCIE

● 7 lutego w wieku 92 lat zmarł w Chocholowie Stanisław Frączyk, żołnierz podziemia i kurier tatrzański, wslawiony tym, że w październiku 1941 r. przyprowadził z Budapesztu do kraju marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego. Aresztowany w lutym 1942 r., kilka lat spędził w niemieckich obozach koncentracyjnych. Życiorys: Tygodnik Podhalański 6/2009 s.4. ● Świetny amerykański „Alpinist Magazin”, założony w r. 2002 przez Marca Ewinga i Christiana Beckwitha, po 6 latach chlubnej służby jesienią 2008 r. nieoczekiwanie zawiesił działalność. Ostatnio zapadła decyzja o wznowieniu pisma, którego redakcję obejmuje znany dziennikarz górski, Michael Kennedy. Nr 26 miałby się ukazać już w połowie kwietnia. Kennedy ma 35-letnie doświadczenie wspinaczkowe i niemal tak samo długie publicystyczno-redakcyjne, jest więc szansa, że „Alpinist” utrzyma swój wyjątkowy styl i poziom. (*Władysław Janowski*) ● 30 marca 85 lat ukończył jeden z najbardziej zasłużonych ratowników GOPR i TOPR, Józef Uznański, taternik, zawodnik narciarski, na przełomie lat 1944–45 żołnierz I PSP AK. Jako ratownik pamiętany jest szczególnie z wielkich zjazdów ścianami nad Morskim Okiem. Józek święci swój jubileusz w znakomitej formie – serdecznie mu gratulujemy!

Redakcja i teksty (z wyjątkiem osobno sygnowanych): Józef Nyka, ul. Klaudyny 12 m 79; 01-684 Warszawa. Tel. [48] 22-833-07-75; e-mail <jozef@nyka.home.pl>. P.T. Seniorzy proszeni są o współpracę. „Głos Seniora” nie czerpie materiałów z krajowych czasopism górskich ani z bliskich tematycznie polskich stron internetowych. Pismo rozprowadzane jest bezpłatnie, numer bieżący można pobrać do druku z adresu internetowego <www.nyka.home.pl/pub/gs200903.pdf>; ostatnie numery są dostępne w internecie na stronie: <www.nyka.home.pl>.



Arne Dekke Eide Naess

ARNE NAESS

Odchodzą ostatni bohaterowie złotych lat światowego himalaizmu. W Norwegii zmarł 12 stycznia pierwszy zdobywca najwyższego szczytu Hindukuszu, Tirich Miru, a przy tym jeden z najwybitniejszych filozofów XX wieku – Arne Dekke Eide Naess. Urodzony w Oslo 27 stycznia 1912 r., znany jest m.in. jako twórca ekozofii czyli filozofii ochrony przyrody. Jego idee wywarły duży wpływ na ruchy ekologiczne, których sam był później członkiem i aktywistą. W r. 1988 został pierwszym szefem Greenpeace Norway. Głośny był jego udział w r. 1970 w przykuciu się łańcuchami do skał przed wodospadem Mardalsfossen – w obronie przed budową zapory. Całe życie związany był z górami. Mieszkał i pracował w górskiej chacie w Tvergastein w górach Hallingsskarvet, gdzie powstały liczne jego dzieła. Chata nie miała wody ani elektryczności, ale „dobry duch ożywiał jej ściany”. W okolicy można się było wspiąć. W swych pracach naukowych często sięgał do motywów i alegorii ze świata gór i alpinizmu. Szukając uzasadnień potrzeby wspinania, używał takich pojęć, jak „radość ruchu” i „imperatyw zabawy”. Chodził dużo po górach i skałach Norwegii, znał Alpy i inne pasma górskie, chętnie wspiął się na drzewa. Po wojnie zainteresował go najwyższy szczyt Hindukuszu, Tirich Mir (7706 m) – jeden z najpiękniejszych masywów górskich Ziemi. W r. 1949 przeprowadził rekonesans Południowego Lodowca Barun, wchodząc na granie do 6400 m, a towarzyszył mu Arne Randers Heen, później przyjaciel alpinistów polskich i od r. 1974 członek honorowy KW-PZA. W r. 1950 Naess poprowadził zwycięską wyprawę na Tirich Mir (7708 m), na którym jako pierwsi ludzie stanęli 22 lipca Per Kvernberg i 23 lipca Henry Berg, Anglik Tony Streather i Arne Naess. Wyprawa była lekka i świetnie kierowana, towarzyszyło jej też szczęście. W r. 1964 był kierownikiem drugiej norweskiej wyprawy w ten masyw, która dokonała I wejścia na Tirich Mir Wschodni (7692 m). Wyprawę z r. 1950 Naess opisał w „Alpine Journal” 58, polska relacja ukazała się w „Górach Wysokich”. W swej filozofii reprezentował mistyczne podejście do gór. Kiedy w r. 1971 wrócił w Himalaje z zamiarem zdobycia Gaurishankaru, zobowiązał się, że jego ludzie uszanują wierzenia ludu i nie przekroczą rzędnej 20 000 stóp (6100 m). Wspinanie cieszyło go do późnej starości. Pytany, czy mimo stałego treningu, odczuwa starcze zwolnienie funkcji życiowych, odpowiadał, że tak. „Coraz więcej imion umyka z głowy, a fizycznie odczuwam to zwłaszcza wspinając się po znanych drogach – kiedyś nie stawały mi one takiego oporu, jak dziś, na progu osiemdziesiątki.” Znanym alpinistą był też bratanek filozofa, Arne Naess junior, bogaty przemysłowiec i mąż piosenkarki Diany Ross. W r. 1985 poprowadził on udaną wyprawę na Everest. Zginął w r. 2004 w wypadku wspinaczkowym w Afryce Południowej. *Józef Nyka*

MARIA HONOWSKA

7 stycznia 2009 zmarła w Krakowie żona Jerzego Honowskiego, Maria Honowska, z domu Brodowska, w KW znana jako Lilka. Urodzona w grudniu 1924 r. w Warszawie, naukę i studia odbywała na okupacyjnych kompletach, wspominała też swój udział w powstaniu w charakterze sanitariuszki. Po szkoleniu skałkowym, w lipcu 1951 zapisała się na kurs nad Morskim Okiem. 1

Do jej towarzyszek należały Wanda (Dada) Stefańska i Krystyna Ostafin(-Dunikowska). W następnym sezonie (1952) umówiły się nad Morskim Okiem ponownie. Mieszkańcąc w Kurniku wspinają się w żeńskich zespołach. Razem z Dadą i Krystyną, Maria robiła m.in. północną ścianę Mnicha i drogę na Niżnią Mnichową Przełęczką od wschodu. W końcu lipca wybrały się z namiotami na kilka dni do Doliny Pięciu Stawów, gdzie towarzyszyli im Marek Stefański, Andrzej Grabianowski i Jerzy Wala. Według notatek Jerzego, Liika zaliczyła wtedy m.in. takie drogi, jak Motyka i Siedlecki na Zamartęj Turni, czy Sokolowski i Leporowski na Kozim Wierchu od północy. W r. 1953 z Antonim Walą robiła m.in. Komin Stanisławskiego na Mnichu i filar Grońskiego na Żabiej Turni. Wszystkie te drogi miały wówczas wysokie notowania, szczególnie w wykonaniu żeńskim. W lecie 1953 r. uczestniczyła w I Ogólnopolskiej Alpiniadzie dla uczczenia 30-lecia Alpinizmu Radzieckiego i wraz z Jerzym Honowskim, n.b. przyszłym mężem, została wyróżniona przez organizatorów „za wzorowe pełnienie odpowiedzialnej funkcji łączników na grani”. Wspiniała się intensywnie lecz krótko, za to w późniejszych latach dużą aktywność rozwijała jako turystka górską. Wychowanka prof. Doroszewskiego, była szeroko znaną slawistką – jedną z najwybitniejszych w Polsce w ostatnich dekadach – profesorką UJ, członkinią PAN i PAU. Wśród jej prac naukowych był m.in. kierowniczy udział w przygotowaniu 2-tomowego słownika słowacko-polskiego. Przez wiele lat dzieliła czas pomiędzy Kraków a mieszkania w Kamienicy i Lubomierzu pod Górcami, jej mąż był bowiem dyrektorem Gorczańskiego Parku Narodowego. Pogrzb odbył się 27 stycznia na Powązkach w Warszawie. *(Józef Nyka – informacje m.in. od Barbary Morawskiej-Nowak i Jerzego Wali)*

ZIMOWE WEJŚCIE NA ELBRUS

Wejście na tę samą górę latem i zimą – jak ma się jedno do drugiego? Chyba można by to ująć tak: w zimie czasem wyjście z namiotu za potrzebą jest większym wyczynem, niż latem osiągnięcie szczytu. I tak chyba jest z Elbrusem. Licznie odwiedzany i pogardliwie nazywany „górzą dla leszczy”, nawet w sezonie letnim potrafi pokazać pazury. Najbardziej jednak o należnym sobie szacunku przypomina zimą.

Zawsze chciałam pojechać w Kaukaz. Ale na Elbrusie nie byłam, bo to przecież góra łatwa, lepiej od razu uderzać na 7-tysięczniki. Jednak myśl o Kaukazie pozostała i po udanym trawersie Mont Blanc w 2008 r. zaczęła kielkować w pomysł nieco szalony: dlaczego by nie spróbować Elbrusu zimą? Pojawił się standardowy problem zimowy – skład. Raz, że trudno zebrać ekipę, mającą wolne w tym samym czasie, dwa, że większość ludzi jest normalna i na takie rzeczy się po prostu nie pisze. A jednak kilkoro nienormalnych się znalazło. Całą ideę przed porzuceniem ocalał Paweł Szaniec ze Świętokrzyskiego Klubu Alpinistycznego. Pomysł podjęły także dziewczyny z tworzącego się właśnie Female Team. Wyjazd postanowiliśmy potraktować jako trening przed letnią „Tien-Shan 2009 – Polish Female Expedition”. Ostatecznie w Kaukaz wyruszyliśmy we troje: Paweł, Joanna (Asia) Stasielak z KW Warszawa oraz ja, z KS Kandahar. Wyprawa miała nazwę HiMountain Elbrus Winter Expedition. Nikt z nas nie znał góry z lata.

Gdy w sobotni poranek 14 lutego opuszczaliśmy zasypany śniegiem Kraków, towarzyszył nam lekki niepokój. Skoro w Polsce taka zima, to co będzie tam, w Kaukazie? Nasze obawy pogłębiły się na widok zimowej scenarii Szeremietiewa. Tymczasem w Mineralnych Wodach zaskoczyła nas... wiosna. Podobnie wiosenny krajobraz roztaczał się wokół nas podczas całej podróży busikiem do Azau u stóp Elbrusa. Ceny noclegów są tu wysokie, rozbiliśmy więc namiot niedaleko dolnej stacji kolejki. Była niedziela wieczór. W poniedziałek obudziliśmy się podduszni. Na 2200 m n.p.m. – co jest? Okazało się, że w nocy zima wróciła w Kaukaz i byliśmy zasypani po dach. We wtorek w góry nie wyszliśmy. Załamanie pogody trwało nadal.

W środę wreszcie przywiatała nas piękna pogoda. Dolna kolejka nie działała. Kolejny odcinek działał, jednak pogardziliśmy luksusem. Moskiewscy narciarze, dla których byliśmy atrakcją turystyczną, nie mogli zrozumieć, dlaczego idziemy pieszo niosąc po 30 kg. Tego dnia dotarliśmy w okolicę stacji Mir (3500 m) i tam spaliśmy w namiocie. Znowu zimno, szron na ściankach, mokre śpiwory. Kolejny dzień to podejście do położonego na 4100 m obok ruin Prijuta 11 Schronu Walerego. Jak się później okazało, ta drewniana chatka, w której temperatura w dzień wahała się między -6 a -20 stopni, miała stać się naszym domem na kolejne 6 dni. W piątek odbyliśmy aklimatyzacyjny spacer pod Skały Pastuchowa. Asię dopadł jakiś kaszel. Atak szczytowy zaplanowaliśmy na najbliższą noc. Przeciętny czas zdobywania szczytu zimą to 14 godzin.

Sobota, 21 lutego, godz. 1:00. Brutalny dźwięk budzika. Temperatura jak na zimą i wysokość 4100 m całkiem znośna, wiatr też. Tylko widoczność kiepska, no i ciągly opad. A jednak o 2:20 wyruszyliśmy. Przy Skałach Pastuchowa Asia postanowiła zawrócić. Paweł i ja poszliśmy dalej. Widoczności nie było żadnej, śnieg zaklejał oczy, ale pozostawał jeszcze GPS. Niestety rzetelnych map GPS Kaukazu nie ma. Ślad, wzdłuż którego szliśmy, biegł jakoś dziwnie. Wycofaliśmy się z ok. 5100 m, gdzieś spod przełęczy między zachodnim i wschodnim wierzchołkiem Elbrusa. I znów szczeliny, lód, szczelina, lód. I strach, żeby nie zostać tu, na tej „górze dla leszczy”. W końcu nad Skałami Pastuchowa trasery a potem spotkanie z Asią, która wyszła nam naprzeciw.

Niedzielę poświęciliśmy na odpoczynek. Elbrus czekał. W poniedziałek znów pobudka o pierwszej. Warunki niestety nie lepsze niż dwa dni wcześniej. Kolejny dzień w Chacie Walerego. Wtorek 24 lutego. Standardowo pobudka o pierwszej. Inna tylko sceneria za oknem. Wiatr i śnieg nie zniknęły, za to po raz pierwszy od dawna zobaczyliśmy gwiazdy. O 2:30 wyruszyliśmy ze schronu, Asia nadal czuła skutki choroby i znów wycofała się przy Pastuchowie. Paweł i ja poszliśmy dalej ku górze. Znaleźliśmy pierwsze trasery i ich linii się trzymaliśmy. Niestety śnieg sypał coraz mocniej. Ciemność, śnieg – niewiele widzieliśmy i najtrudniejszy odcinek, gdzie niektórzy zimą wkręcają śruby, przeszliśmy z... kijkami. Kiedy zorientowaliśmy się, że wypadałoby zamienić jeden z kijków na czekan, na postój i zdjęcie plecaka nie było już szans. No to szliśmy dalej. Ostrożnie, wyrabując rakami każdy krok, przeszliśmy czarny lód, aż wreszcie podłoże stało się lepsze a trasa zaczęła skręcać. Temperatura wymuszała niezłe tempo. Świt zastał nas na trawersie tuż przed przełęczą między oboma wierzchołkami. Najmniejszy czas przed wschodem słońca był dla mnie jednym wielkim kryzysem. Każda operacja – wkładanie puchówki, zgaszenie czołówki, założenie plecaka – wymagała zdjęcia wierzchnich łapawic. To powodowało natychmiastową utratę czucia w palcach, później długie przywracanie ich do życia.

Na przełęcz doszliśmy powoli, w skuleniu przeczekując najsilniejsze porywy wiatru. Byliśmy tak zmęczeni i wychłodzeni, że postanowiliśmy odpocząć w naturalnej jamie, o której mówili Rosjanie. Wydobywa się z niej gaz wulkaniczny, a wewnątrz panuje podobno upał +8 stopni! Niestety jama była zasypana. My póki co martwiliśmy się o siebie. Batony konsystencją przypominały cegłówki, a termosy zamarzyły tak, że dopiero po paru minutach chuchania udało się je odkręcić. Ale warto było się pomęczyć. Trochę ożyliśmy. Zrobiło się też nieznacznie cieplej. Ruszyliśmy do góry. I tu pojawił się kolejny problem. Powietrze wydychane z masek windstopperowych leciało w górę wprost na szkła okularów, gdzie w momencie zamarało. Na szczyt poszliśmy więc, o zgrozo, bez okularów. Szliśmy powoli. W końcu aklimatyzację mieliśmy do 4100 m, a Elbrus ma 5642 m. Na zboczach wyraźnie rysował się ślad ścieżki z lata. Jeszcze jeden zakręt, jeszcze jeden wierzchołek i... nic nie pozostawiało wątpliwości, że to ten najwyższy. Słupki, chorągiewki modlitewne i, ku naszemu zaskoczeniu, gitara. Kto ją tu przytaszczył latem? Szybki rzut oka na piękno gór dookoła, żeby zachować ten obraz w pamięci. Po sesji zdjęciowej jak najszybciej w dół.

Na przełęcz przywiatał nas już zupełnie inny świat. Można było zdjąć puchówki i zewnętrzne łapawice. Dopiero teraz zorientowaliśmy się, że mimo całej ostrożności bez odmrożeń się nie obeszło. Paweł miał czerwony nos, ja zamiast prawej połowy twarzy poczułam coś dziwnego, co wkrótce miało stać się wielkim bąblem. No trudno, i tak było warto. Teraz trzeba było wydobyć z siebie rezerwy sił i zejść. Przed Skałami Pastuchowa zaliczyliśmy jeszcze jedną przygodę. Ja nie mając sił wbiłam raków w twardy czarny lód, postanowiłam pójść naokoło, lepszym lodem białym. Straciliśmy się z oczu, omal nie wpadłam do szczeliny... w końcu jednak znów się zobażyliśmy, a po chwili już Asia poila nas czekoladą. W chatce Walerego byliśmy ok. 13. 10 1/2 godziny to czas jak latem. Ale wolniej się nie dało, zamarzlibyśmy. Wchodząc do schronu zobaczyliśmy, jak nad wierzchołkiem Elbrusa kołują się ciemne chmury. Dostaliśmy swój czas. Wyczekaliśmy go i dobrze wykorzystaliśmy co do minuty.

Nie da się zaprzeczyć, iż nie byliśmy wielką, przełomową, poważną wyprawą. To była raczej namiastka tego, czym jest zima w górach wysokich. Namiastka, która wystarczyła, abyśmy do Polski wracali z poczuciem wykonania sporego kawałka dobrej roboty. I z jeszcze większym niż dotąd szacunkiem dla wszystkich tych, którzy zimą atakują szczyty najwyższe. Bo zimy z latem nie da się porównać.

Aleksandra Dzik

Redakcyjny skrót obszernego artykułu otrzymanego od Autorki, w całości publikowanego w kilku różnych portalach w internecie